Rozmaitości

Dnia 19. Grudnia | Ner. 51. | Roku 1840.

ROZKOSZE MILIJONOWEGO PANA.

(Z francuzkiego pana Mery.)

Przy gościńcu, który z Betford do Londynu prowadzi, stoi bardzo piękny pałacyk wiejski, należący do pewnego fabrykanta nożów, który od niedawna w Birminghamie swe rzemiosło zarzucił. Bogaty rękodzielnik ten podobnie jak wszyscy Anglicy Wilijamem, a do tego równie jak wielu pomiędzy nimi, Szoffieldem się zowie. Sprzedał on przez lat trzydzieści dla całéj kuli ziemskiéj tak wiele nożów, i tak znaczny uzbiérał majątek, iżby mu go na stałym lądzie niejeden hrabia mógł słusznie pozazdrościć; na każdym sprzedanym nożu miał wzysku trzonek, a drugiego, któryby mu wyrównywał, w całym Birminghamie nie było. W chwili, gdy mu jego rachmistrz oznajmił, iż majątek jego przynosi mu piętnaście tysięcy funtów szterlingów rocznego dochodu, »basta« rzekł sam do siebie, i zaprzestał trudnić się swém rzemiosłem, a w zamiarze przepędzenia swobodnie reszty życia, został kapitalistą. Fabrykant ten prenumerował się na dziennik *Sun*, dla czytania w nim czwartéj stronicy, na któréj są umieszczone rozliczne uwiadomienia. Jak Wilijam Szoffield, tak też prawie wszyscy Anglicy prenumerują się na gazetę, i z tądto pochodzi, że w polityce tak bardzo są biegli. Prócz dziennika *Sun*, kupił sobie Wilijam także piękną majętność dla zbliżenia się ku stolicy, gdzie na łonie przyjemności, życie swoje zakończyć postanowił.

Pod wiosnę w roku 1834 urządził się Szoffield w pięknym swym wiejskim domu; przyjął dwóch rosłych i barczystych lokai w galonowéj liberyi i w błękitnych rękawiczkach. *Milne,* sławny fabrykant powozów, sprzedał mu kocz paradny; do tego kocza kupił sobie trzy paradne konie i emancypowanego Murzyna, który od czasu zniesienia niewoli, woźnicą został. Co dnia jeden dyliżans przywoził mu świeżego łososia, drugi dostarczał najsmaczniejszych południowych owoców; w piwnicy miał najdroższe wina, słowem przez dni czternaście opływał Szoffield w wszelkie rozkosze i przyjemności, jak bożek pogański.

Na początku trzeciego tygodnia, gdy Szoffield usiadłszy do stołu, wziął nóż i zaczął krajać rostbif, westchnął głęboko i spojrzał posępnym wzrokiem ku północnéj stronie Anglii. Służący sądząc, iż Szoffield tym giestem okazuje swoje nieukontentowanie z powodu, że może nóż nieczysto był wychędożony, poskoczył czém prędzéj i podał mu na talérzu cały tuzin jak zwierciadło lśniących się sztućców, prosząc, aby sobie wybrał, który się mu podobać będzie. Szoffield mniemając, że to jest przytyk, uderzył tak silnie pięścią w porcelanowy talérz, że się aż na kawałki rozleciał, a noże z dźwiękiem na podłogę runęły. Lokaj tém urażony, prosił natychmiast o uwolnienie go od obowiązku, gdyż angielski służący jest bardzo dumny, bo jest wolnym człowiekiem i od rana do wieczora w rękawiczkach chodzi.

»Tamże do licha!« rzekł Szoffield sam do siebie, »mnie się zdaje, że... jak mi Bóg miły, mnie się zdaje, że mnie *splen* napastuje!

Nigdym się tego nie spodziéwał, aby próżnowanie miało tak nudną być rzeczą! Jakże niegdyś szczęśliwy byłem w moim warsztacie, kiedym w Providence-Bulding krocie wyrabiał nożów! — Muszę w téj mierze zasięgnąć rady od uczonego pana Kemble, sąsiada mego.«

Pan Kemble jestto syn sławnego aktora tegoż nazwiska, a co większa, redaktor pisma *Quarterly Review;* ma lat trzydzieści, i jest tak poważny jak jego dziennik, kwartalnik naukowy, w szarawą skórkę oprawny. Szoffield robił dla aktora Kemble do przedstawy Hamleta i Makbeta kilka teatralnych sztyletów, i tym sposobem poznał się z jego synem.

Pan Kemble, redaktor pisma *Quarterly Review,* dumał właśnie nad piorunującym artykułem, którym miał Birmanów pogromić, gdy służący wszedł do pokoju i pana Szoffielda zapowiedział. Rozmowa wszczęła się tym trybem, jak się każda pomiędzy Anglikami rozpoczynać zwykła. Szoffield usiadłszy patrzył na Kemblego, a Kemble siedząc patrzył na Szoffielda, a ta wymiana spojrzeń trwała przez pół godziny, i byłaby może aż do zachodu słońca nie ustała, gdyby Kemble nie miał był do przejrzenia krytyki na dzieło pewnego uczonego Mandaryna nazwiskiem *Tapis-Koi,* który żył w r. 3387 przed naszą erą chrześcijańską. Nie miał więc czasu do przypatrywania się długo panu Szoffieldowi, i wszczął rozmowę wykrzyknikiem, który niejako na westchnienie zakroił. Na ten wykrzyk Kembla, zmiészał się Szoffield mniemając, że mu nie w porę przyszedł; powstał więc z miejsca, i chciał się już pożegnać, ale pan Kemble otworzył usta i rzekł:

»Panie Szoffield, życzysz sobie zapewne mówić ze mną?«

»Tak jest.«

»Więc mów.«

»Panie Kemble, przyszedłem zasiągnąć rady od wpana, wszak jesteś tak uczonym, że... trudno powiedzieć!«

Pan Kemble okazał się niewzruszonym na tę pochwałę. »Jakiéjże mam udzielić rady?« zapytał poważnie.

»Bądź łaskaw i powiédz mi, jakim sposobem mógłbym w to poradzić, abym się nie nudził i spędził mój czas przyjemnie. Odtąd jak zarzuciłem moje rzemiosło, raz wraz chce się mi ziéwać i okropnie się nudzę. Powiédz mi przez grzeczność, jak mam temu radzić?«

»Bardzo łatwo; prenumeruj się wpan na mój kwartalnik.«

»Hm, prawda, to już będzie jakowaś ulga w ziéwaniu; dobrze, zaprenumeruję się na rok cały. Czy ten kwartalnik często wychodzi?«

»Cztéry razy na rok jeden tom spory, cztérysta pięćdziesiąt stronic drobnym drukiem zawiérający.«

»Mości Kemble, sądzę, iż ten kwartalnik niedostatecznym będzie do rozerwania mnie przez trzy miesiące.«

»Więc radzę panu kupić wszystkie tomy od roku 1827, wtedy będziesz miał tomów cztérdzieści do czytania.«

»Dobrze, kupię wszystkie cztérdzieści. Teraz do czego innego; mości Kemble, wylicz mi też wszelkie rozrywki, jakie za pieniądze w Londynie mieć można.«

»Mająžto być uczciwe rozrywki?«

»A jużci, a jużci.«

»Takich nie mamy.«

»Ale pomyślno tylko, mój zacny panie Kemble.«

»Ha, możesz wpan n. p. uczęszczać do dywanu *Gran Cygar.*«

»I cóż tam w tym dywanie robią?«

»Czytają mój kwartalnik, przytém w czasie czytania, duży pozytywek przegrywa bardzo piękne pieśni choralne.«

»Rozrywka ta coś mi nie bardzo rozrywającą się wydaje.«

»Przecież warto raz spróbować.«

»Dobrze, toć i spróbuję... A z resztą, czy już nie ma żadnéj innéj rozrywki?«

»Możesz się wpan n. p. przechadzać po wybrzeżu od *Temple Bar* aż do *Hungherford Market.*«

»A potém?«

»Możesz wrócić się od *Hungherford Market* i znowu pójść ku *Temple Bar.*«

»Znowu pójść, z kąd przyszedłem? No, to nie wiele kosztuje.«

»W omnibusie kosztuje tylko jeden szyling, a pieszo ani szeląga.«

»Więc to są już wszystkie przyjemności, mości Kemble?«

»Możesz także dla rozrywki mierzyć wiatr demometrem, którego jestem wynalazcą. Jestto rzecz bardzo zajmująca. Tym sposobem wszystkie te rozmaite zabawy uprzyjemniać ci będą chwile życia twego. Wiele masz lat, mości Szoffield?«

»Pięćdziesiąt ośm i dni czternaście, minut nie liczę.«

»O jeżeli tak, spieszże się i używaj przyjemnie swego majątku!... Jutro poszlę mu przez służącego, całe wydanie mojego kwartalnika od roku 1827. Czy nie chciałbyś nabyć dwóch egzemplarzy tego pisma?«

»I owszem, czemuż nie; będę miał podwójną rozrywkę.«

»Zalécam wpanu najszczególniéj główny artykuł: o wysuszeniu moczar w głębi Nowéj Holandyi, który przez całych siedm tomów się ciągnie.«

»Nie zaniedbam czytać o tych moczarach przez wszystkie siedm tomów idących. A teraz żegnam wpana mości Kemble; bardzom jest wdzięczen za poradę, a jeżeli łaska, proszę nie zapomnieć o przyrzeczonych egzemplarzach.«

Jakoż pan Kemble dotrzymał słowa; jeszcze przed wieczorem zawiózł służący jego na taczkach całą balę dziennika *Quarterly Review* i ułożył ją w domu Szoffielda w dużą piramidę; lecz miasto dwóch, posłał mu przez grzeczność trzy egzemplarze. Zacny fabrykant nożów, rzucił się w to broszurowane morze, które z nudów go uléczyć miało; porozrzynał kartki jednego tomu i położył się jak na materacu na trzydziestu dziewięciu, które trącone, po podłodze się rozsypały; tak leżąc czytał krytyczny rozbiór kazania, które pewien angielski missyjonarz stojąc pod palmą na wyspie *Owhyhe,* miał do potomków tych dzikich ludzi, którzy niegdyś kapitana Kooka nielitościwie zamordowali. Z tém wszystkiém kazanie to nie powiodło się wcale, gdyż dzicy ludzie nie rozumieli kaznodziei, a kaznodzieja nie rozumiał dzikich ludzi. Pantomima trwała przez całe trzy godziny, aż nareszcie dzicy pozasypiali. To samo spotkało i pana Szoffielda, chociaż bardzo gorliwym był Chrześcijaninem.

Z brzaskiem jutrzenki obudził się ze snu, i przetarłszy oczy, ziéwnął głęboko i spojrzał znudzonym wzrokiem na swoje literackie łoże; podniósł się na nogi, i dla rozerwania się wyszedł na dziedziniec; tu ziéwnąwszy znowu kilkakrotnie, wciągnął w siebie sporą porcyję mgły porannéj i tym sposobem cokolwiek się rozerwał. Głodny i spragniony wrócił do pokoju, i z wielkim smakiem wypił sześć filiżanek czarnéj herbaty, poczém wziąwszy się pod boki, rzekł kontent i z uśmiéchem: Jakem Anglik, zdaje się, że już szczęśliwym być zaczynam, to rzekłszy, ziéwnął na całą gębę. — Śród tego rozdziawu gęby, jakiś chłopiec uliczny przyniósł mu pismo; byłto list od lokaja Johna, który dniem wprzód z służby wystąpił, i podobnie jak wszyscy lokaje angielscy, John się nazywał. List ten zawiérał co następuje:

»Gdybyś był gentlemanem, ha, wtedy za przyzwoite *honoraryjum* możnaby znosić grubijańskie dziwactwa twoje; ale ponieważ jesteś tylko poślednim nożownikiem, a to jeszcze Bóg wié z jakiéj mieściny, przetoś mnie równy, a może jeszcze mniéj znaczącym odemnie, a zatém wyzywam cię na honorową sprawę i oczekuję z potężnym pięstukiem przy moście w Hihgate; mam jednego świadka i trzech takich, którzy idą o zakład, że cię porządnie wyboksuję. Wolno ci i z swojéj strony przywieść jednego świadka i takich, którzyby w twoich leniwych członkach pokładając otuchę, podobnież o kilka szylingów w zakład pójść chcieli.« »John.«

Już ten sam bilet uczynił na Szoffieldzie tak wielkie wrażenie, jakiegoby nawet dobrze wymierzony kułak Johna nie mógł sprawić. Stał osłupiały i szukał długo w swojéj pustéj mózgownicy jakiéj myśli, którąby się od tego pojedynku mógł zbawić, ale żadna przyjść nie chciała; spoziérał przez okno na dziedziniec, którego mgłą właśnie co się był orzeźwił, zdejmował rękawiczki, to je znowu na ręce wdziéwał, zapinał kamizelkę, to ją znowu rozpinał, oparł głowę na prawéj ręce, to ją znowu w żałości na lewéj położył, nakoniec westchnąwszy głęboko, rzekł sam do siebie bardzo smutno: »Mój miły Boże,

dopiéro od dwóch dni zacząłem jako tako być szczęśliwym, aż oto jeden lichy służący pod pozorem, że nie jestem gentlemanem, chce mię na śmierć zpięstukować! — Poczekaj drabie, pokażę ja ci, co ja znaczę, — tak... albo nie... ale tak, udam się pod opiekę ustaw, wszakże jeszcze są z łaski bożéj konstablowie w starożytnéj Anglii.«

To rzekłszy, zawołał na woźnicę, by zaprzągł do powozu. Konie były wprawdzie w stajni, lecz ogrodnik oznajmił mu, iż woźnica z resztą czeladzi uszedł z domu, gdyż John kazał w Hihgate, Hampsteadzie i Kriklewoodzie poprzylépiać odezwy, w których potężnémi pięstukami groził każdemu, ktoby się u nożownika z Birminghamu służyć, dla niego jeść gotować lub starą koszlawą osobę jego na spacer wozić poważył.

»A to prawdziwy smok nie człowiek!« zawołał Szoffield. »Jak się tu z jego szponów wydobyć!« To rzekłszy wziął się — jakby za coś rozumnego — wziął się za głowę.

Ogrodnik zamiatał aleję i nic nie odpowiadał.

Biédny nożownik poznał, że jest w przykrych okolicznościach; przechadzał się śpiesznym krokiem, tłoczył nogami trawnik, mówił często do siebie: *»My God, my God!«* zażywał raz po razu tabaki, stawał to przed krzakiem to przed drzewem w pozycyi boksera, słowem jako człowiek, Anglik i kapitalista, utracił zupełnie przytomność.

A przecież trzeba się mu było czegoś chwycić koniecznie. Widząc się w niebezpieczeństwie, i mając przeszkodę w dowolném używaniu swego majątku, odważył się na ostateczność, wziął kaftan ogrodnika, który wisiał na drzewie, wdział go na swoje drżące członki i porzuciwszy swój piękny pałacyk wiejski, puścił się co mu duchu stało gościńcem ku Londynowi. Ale gdy biégł mostem w Hihgate, strach go śmiertelny oblecial; przy brzegu na łące zaledwie o dwadzieścia kroków oddalonéj od niego, spostrzegł Johna, który przed tymi, co na korzyść jego szli o zakład, już się naprzód kułakami popisywał, któremi byłego swego pana okładać postanowił. W téjże chwili jeden z zakładających się zawołał: »Ja stawię funt szterlingów, że ten tchórz nożownik stawić się nie zechce.«

»Łotr ten wygra niezawodnie«, pomyślił sobie w duchu Szoffield i zaczął biédz co mu sił starczyło.

Zlany potem i zasapany, nie stanął aż w szynkowni w Hampstead, dla pokrzepienia porterem osłabionych członków swoich. Lecz gdy tylko piérwszą śklankę do ust przyłożył, spostrzega Johna z potężnym pięstukiem na czele rozsrożonego orszaku do szynkowni wchodzącego. Drżący cały z przestrachu, upuszcza śklankę na ziemię, a sam utraciwszy zupełnie przytomność ucieka na ulicę i woła na całe gardło: »Boże zachowaj królowę angielską!« tuż za nim bieży w pogoń rudo-włosy piwniczy, który również na całe gardło o zapłatę się upomina.

Na łące przed Hampstead, pasą się osły, których zwidzający tę okolicę, do przejazdki najmują. Szoffield dopadłszy jednego z tych szarych źwiérząt, wskakuje nań, bodzie je zamiast ostrogów dobytym nożem i pędzi tęgim czwałem przez długą ulicę Totenham Rood, która do Londynu prowadzi. Podobnież i rudy kelner dosiada osła, by dognał niezapłacony porter; John i przyjaciele jego dosiadają także osłów, i jak rozżarta obława za uciekającym dzikiem, pędzą za najnieszczęśliwszym ze wszystkich ludzi, którzy kiedy noże robili.

Przed seminaryjum Wellingtona stoi strażnik cłowy, który spostrzegłszy rzecz niesłychaną, w galop goniącego osła, a na nim człowieka z bladą twarzą, krwią zbroczonym nożem i zębami dzwoniącego, podnosi copredzéj białą, urzędową laskę, i zastępuje osłowi drogę; lecz rozpędzony osieł, zwyczajnie jako osieł, nieważa ani na ustawy ani na parlamentowe akta, obala wykonawcę porządku na ziemię, i goni jakby o wyścig najlepszy rumak angielski; tuż za nim sadzi przez krzyczącego »gwałtu« strażnika, rudy kelner, za kelnerem, sadzi John i cała zaciekła zgraja. Szoffield umiérał już w myśli ze strachu, i było też czego; widział, że się targnął na uświęcone ustawy, naruszył publiczny spokój, przejechał urzędową osobę... słowem miał się za największego w całéj Anglii winowajcę, a nawet już się widział w Tyburnie na szubienicy.

Tymczasem gdy on takiémi myślami trapiony, drżał na całém ciele, osieł jego nie tracił miny i pędził coraz żwawiéj tak ognisto, iż wszyscy prześladowcy jego w tyle pozostać musieli. — W Hungerford Market wpadł osieł do otwartéj stajni i stanął przed żłobem; Szoffield postrzegłszy to, zeskoczył równémi nogami jak najprędzéj z osła, i puścił się co mu duchu stało ku Tamizie, aby przed ścigającymi go nieprzyjaciołmi, na przewozowym statku schronienie znalazł.

Statek przewozowy płynął właśnie w dół Tamizy do *London Bridge;* Szoffield dopiéro wtedy odważył się wejść na pokład, gdy kapitan podróżnych wzywać zaczął. Już dobrą chwilę płynął statkiem, a zawsze jeszcze dzwoniło mu w uszach tętnienie kopyt oślich i brzmiały wrzaski prześladowców jego, zawsze się mu zdawało, że widzi rude włosy kelnera, ogromne pięstuki

Johna i na ziemię obalonego strażnika. Ledwie w godzinę dopiéro przypomniał sobie, iż niedaleko Toweru, gdzie znowu na ląd miał wysiąść, mieszka jego przyjaciel, który podobnież jest z cechu nożowników. Przepadła dla biednego Szoffielda czysta spokojność sumienia; bo mniemał się być wielkim zbrodniarzem. Gdy wszedł do pokoju przyjaciela swojego, odwrócił się od źwierciadła, aby w niém swéj grzesznéj postaci nie ujrzał!

Dwa dni ukryty przed światem, chował się u swego przyjaciela, który wpływem swoim wyjednał mu nareszcie paszport do Liworna pod zmyśloném nazwiskiem. Dla uspokojenia sumienia urzędnika w *Alien office,* zapłacił mu dwieście funtów szterlingów. Prócz tego zaopatrzywszy się bankowémi papiérami i wsiadłszy w Southampton na okręt *Bull* pod rozkazami kapitana Foxa, popłynął do Liworna.

Szoffield potrzebował teraz bardziéj spoczynku, niż wprzódy szczęścia; dla tego téż powiększéj części spał przez cały ciąg długiéj podróży swojéj. Jednego poranku zapytał go kapitan Fox: »któżto jest ten pan John, o którym wpan nieustannie przez sen gadasz?«

Biedny nożownik usłyszawszy to zapytanie, zbladł, jak blednie mokra chusta w zimie na płocie suszona! »*My God!*« pomyślił sobie, »a to rzecz piękna, jak widzę nawet sobie samemu dowierzać nie można!«

»Podróżny ten«, rzekł kapitan do swego porucznika, »jest człowiek podejrzany, poczuwa się do jakowéjś okropnéj zbrodni!« Porucznik kiwnął głową i podzielał zupełnie kapitana zdanie, gdyż od potopu świata jest to już zwyczajem, iż każdy porucznik kiwa głową i podziela zdanie swego kapitana. — Gdy Szoffield, którego to zapytanie kapitana prawie aż do rozpaczy przywiodło, znowu swą przytomność odzyskał, spostrzegł, iż cała osada i podróżni okrętu *Bull,* z grozą i wstrętem nań poglądali. Nakoniec okręt *Bull* zawinął do Liworna. Szoffield zabawił w tém mieście tylko tak długo, ile wymagała potrzeba dla zamówienia sobie miejsca na pocztowym statku *Pharamund,* który do Neapolu odpływał. Jakiż kamień nie spadł z jego serca, gdy się wydobył z okrętu, na którym przez majaczenie we śnie, tylko wzgardę i podejrzenie na siebie zwracał! Na pokładzie okrętu *Pharamund* sława jego była już nienaruszona, postanowił więc starać się wszelkiémi sposobami o utrzymanie nieskazitelności téj sławy, i z tego powodu kładąc się spać, zawsze sobie dla zabieżenia swym nocnym monologom, zatykał usta jedwabną żółtą chustką od nosa. — Spokojność i błogie zadowolenie znowu się do niego uśmiéchać zaczęły, któż bowiem mógł wiedzieć na pokładzie przepysznego okrętu *Pharamund* o przygodach z Johnem, o rudo-włosym kelnerze i o strażniku, którego dzikonośnym osłem przejechał.

Zresztą Szoffield co do charakteru i sposobu myślenia swego, był tak prostoduszny i niewinny jak każdy dobry obywatel birminghamski. Na stali, żelezie i trzonkach sztućcowych, równie jak i na pieniądzach i wartości ich, znał się on jak najdoskonaléj; ale znać się na innych rzeczach świata, nie miał żadnéj pretensyi. — Wsiadłszy na pokład statku *Pharamund,* odetchnął na całe piersi, bo sądził, że samymi Włochami jest otoczony, i w téj chwili tylko ta jedna myśl go trapiła, iż po włosku z nimi rozmawiać się nie może. — »Zresztą nie wiele na tém stracę«, rzekł sam do siebie, »wszak z natury nie jestem gadatliwy, a ile mi potrzeba będzie, tyle przecież od Włochów się nauczę.« Późniéj Szoffield także w dziedzinę logiki się zabłąkał i zaczął wyprowadzać wnioski filozoficzne; ponieważ rzekł sam do siebie: »W Birminghamie nié ma Neapolitańczyków, więc w Neapolu nié ma także Anglików, a przeto nikomu tam nie jestem znany.«

Na pokładzie pocztowego statku było 160 podróżnych różnéj płci, i różnego wieku. Wszyscy milczeli jak ryby w wodzie, i co za niepojęty cud natury! nawet niewiasty, ten rodzaj najgadatliwszy, i milczał przecież! »Tomito są prawdziwi Włosi!« pomyślił sobie w duchu Szoffield. Jakże się omylił! wszyscy ci milczący Włosi, bylito Anglicy, jego ziomkowie!

Sama rodzina Turnpike zabrała połowę statku i formowała szpaler od stéru aż do głównego masztu. Składała się ona z szesnastu osób i dwóch powozów. Pan Turnpike, prowadząc handel szalami, uzbiérał sobie dosyć dostateczny majątek, aby z powszedniego głupca wyszedł na dumnego pana. Dla uniknienia choroby nudów, która zwykle w *City* pomiędzy bogaczami grasuje, poradzili mu lékarze, aby do Włoch wyjechał; jakoż w skutek téj rady odbywał już od półtrzecia roku podróże z całą swoją rodziną, i tém wszystkiém, co tylko żyło w jego domu. Pan Turnpike chodził w czarnym surducie z najcieńszego sukna, w spodniach takiegoż samego koloru, w bótach z skóry lakiérowanéj i w czerwonéj kamizelce, na któréj kwitła cała oranżeryja kwiatów. Już na całą milę angielską cuchnął on panem milijonowym. Żona dźwigała na zwietrzałych członkach swoich, najmniéj kilka tysięcy funtów szterlingów w złotych łańcuchach, brylantach i pierścieniach. Błogosławione małżeństwo to otaczało dwana-

ścioro tłuściuchnych dziatek; wszystkie miały blond włosy i świeżym rumieńcem oblane twarze, ale twarze milutkie, pełne poruszającej głupoty. Dwie barczyste, męzkiego wzrostu służące, zieloną gazą zasłonione, pilnowały tych drogich latorośli bogatego pana Turnpike.

Rozstawione w koło parasole, oznaczały różnych rodzin granicę. O dwa kroki od ostatniego z Turnpików rozłożyła się obozem rodzina Dulwichów. Liczyła ona dwadzieścia i trzy osób, między któremi byli także służący od stóp do głowy w galonach. Pan Dulwich był torysem z najczystszéj rasy, oddalił się z siedziby swoich przodków dla tego, że wydział whigów hrabstwa Lankaster kazał przeciw Sir Robertowi Peel wydrukować odezwę mającą trzydzieści stóp długości.

Za Dulwichami rozprzestrzeniała się rodzina Bokstonów. Bokston podany na parlamentowego kandydata, nie utrzymał się podczas wyboru; kraj więc klasyczny miał go pocieszyć za klęskę, którą poniósł na bojowisku wyborowém.

Pięciu lub sześciu panów milijonowych na gruby *splen* ciérpiących, poziéwało osobno po różnych kątach okrętu, żony ich siedząc w powozach, czytały *Child Harolda*, i drzymały po każdéj wrotce; za niémi stał orszak melancholicznych lokai, którzy utkwiwszy oczy w jedno miejsce, ze wszech miar do figur z kamienia wyciosanych podobnymi byli.

Tak wyładowany statek męzkiémi i żeńskiémi elegijami z wszystkich hrabstw angielskich, przerzynał miluchno błękitno-zielonawe fale wzdłuż pięknego włoskiego wybrzeża.

Szoffield usiadł sobie na ławce w uboczu, i wziąwszy kawał miękkiego drewna do ręki, zaczął najostrzejszym nożem w świecie, wyrzynać różne zygzaki. Lokaje patrzący dotąd w jedno miejsce, zrobili ruch gimnastyczny, i obstąpiwszy bohatéra naszéj powiéści, jęli się milczkiem dziwić jego misternéj robocie.

Gdy noc nadeszła, każda rodzina weszła szeregiem do swéj komory. Jak przedtém każdy czuwał w milczeniu, tak teraz chrapał śpiący. Byłato prawdziwa kocia muzyka!

Gdy wschodzące słońce promiennym blaskiem swoim widnokrąg uprzyjemniło, nienajprzyjemniejszy szum i szelest zbudził Szoffielda ze snu. Cztérdziestu Anglików w ogólnéj sali stało razem nad miednicami i płukało sobie usta. Poczém wypakowano podróżne szkatułki i zabrano się do toalety. Mimo chybotanie się statku, mimo fale, które o statek uderzały, gdyż morze było niespokojne, golili sobie Anglicy brodę z największą powagą. Dwie godzin poszło na wytępienie najmniejszego włoska w brodzie, drugich dwie upłynęło na czyszczeniu i obrzynaniu paznogci, dwie godzin trwało, nim ręce wlazły w ciasne rękawiczki. Gdy tym sposobem na samém uładnieniu się ćwierć dnia ubiegło, wtedy dopiéro poważni synowie Albijonu wystąpili na pokład, i pokłonili się damom przymilnémi oczyma. Damy piły z największą uroczystością herbatę, i zajadały bardzo drobniutkie cukrowe obwarzanki. Młoda rzesza gentlemanków na widok tych gastronomicznych przysmaków, obudziwszy w sobie apetyt, pisnęła świszczącym głosem susłów to słowo *Ti!* (herbaty). Trzeba bowiem wiedzieć, że Anglikom przyzwoitość tylko o tyle otwiérać każe usta, o ile to słowo *Ti* przeleźć może. To jedno-zgłoskowe, wiele-znaczace słowo *Ti*, dało się ze wszystkich stron tak często słyszéć, że aż Szoffielda strach ogarnął. »Przebóg!« pomyślił sobie, »wszakże to sami Anglicy!« — Od téj chwili na morską słabość zachorował!

Gdy się morze znowu cokolwiek uspokoiło, uśmierzyła się także niespokojność w biédnym Szoffieldzie. Spostrzegłszy ładnego chłopca rozmawiającego po angielsku z mechanikiem okrętu, rzekł z westchnieniem: »Proszę o śklankę madery.« Chłopiec uskutecznił jego żądanie. »Za trzy godziny« rzekł chłopiec, podając mu do ręki śklankę, »staniemy w Neapolu!«

»W Neapolu?« odrzekł Szoffield, »dajże jeszcze śklankę madery. Nieprawdaż, że Neapol jest piękne miasto?«

»Tak jest, milordzie.«

»Słusznie mówisz, czytałem o niém pewnego razu w *Quarterly Review*... wszyscy ci panowie są Anglicy, nieprawdaż?«

»Tak jest, milordzie, od najmniejszego aż do najwyższego.«

»Zapewne dla rozrywki tę podróż odbywają?«

»Tak jest, milordzie, dla saméj tylko rozrywki. Sąto milijonowi panowie, tak jak wpan milordzie. Ach, sami szczęśliwi ludzie.«

»Rzecz osobliwsza, mnie się nie zdaje, aby oni bardzo szczęśliwi byli.«

»Prawda, że na statku pocztowym nie bardzo są szczęśliwi, gdyż tu są z dziećmi i żonami, a to nie bardzo jest zabawną rzeczą. Ale milordzie zobaczysz tych panów w Neapolu, ach, tam nawet sam święty Januaryjusz mógłby im pozazdrościć.«

Chłopiec ten zdaje się być wesołego humoru, pomyślił sobie Szoffield, jest także usłużny, najmę go dla mojéj osoby. — Poczém dla wypoczynku po téj natężającéj myśli, kazał sobie przynieść trzecią śklankę madery.

»Sądzę, iż madera milordowi smakuje.«

»O i bardzo; jakże się nazywasz, mój grzeczny chłopaku?«

»Francuzi zowią mnie Jean, Anglicy zaś John.«

Gdy to fabrykant nożów usłyszał, przeszła go dreszcz zimna i uastała chwila milczenia; poczém odzyskawszy przytomność, zapytał daléj: »Zkąd jesteś rodem Johnie?«

»Z Neapolu.«

»Aha z Neapolu... jakże cię zowią w twéj ojczyźnie?«

»Micali... ale to za długie nazwisko dla służącego, a panowie Anglicy utrzymują, iż czas bardzo szczędzić należy. Przeszłego roku mówili jeszcze do mnie: »daj mi porcyję herbaty«, poźniéj »daj mi herbaty«, a teraz już nie mówią tylko jedno słowo *tea*, (czytaj: *Ti*); późniéj będą mówili tylko *i*, a nakoniec już tylko głową kiwną. Tym sposobem oszczędzą sobie wiele czasu.«

»Ja nie będę głową kiwał, ale będę cię zwał Micali.«

»Zdaje się, że milord masz wiele czasu. Jednakże w obecności swych ziomków nazywaj mnie Johnem, inaczejby cię wkrótce wszyscy marnotrawcą czasu nazwali.«

»Micali, czy niechciałbyś ty przyjąć u mnie służbę? dam ci sześćdziesiąt funtów rocznie, a gdy u mnie przez lat dziesięć zostaniesz, to ci pensyję wyznaczę.«

»Toż milord nie masz żadnego służącego?«

»Żadnego, zostawiłem wszystkich moich ludzi w Londynie... Byłem bardzo niecierpliwy zobaczenia pięknego kraju włoskiego.«

»Poznaję, iż milord jesteś bardzo zamiłowany w mojéj ojczyźnie.«

»O tak, tak Micali, bardzo zamiłowany.«

»Zgoda, przyjmuję milorda propozycyję; skoro opuszczę okręt, natychmiast w służbę do pana wstąpię.«

»Dobrze... Teraz powiedzże mi Micali, co mi pięknego w Neapolu pokażesz?«

»Wszystko, co tylko oko ludzkie ubawić może... Widzisz pan tam z daleka... tam, tam; to Wezuwiusz.«

»Aha, sławny Wezuwijusz... Tak, tak, to on, mam go odmalowanego na dublińskiéj chustce od nosa.«

»My Włosi nazywamy go *il Vesuvio*... Milordzie będziesz jak Bóg szczęśliwy.«

»Powiedzże mi mój Micali, gdzie ja cię znajdę w Neapolu?«

»Radzę milordowi wysiąść w hotelu: *de la Victoria*, w Chiaia.«

Okręt *Pharamund* zawinął do portu; na wieżach trzystu kościołów uderzyła trzecia godzina. Spokojny Wezuwijusz snuł spokojnie kłęby dymu w powietrze, podobnie jak Lazaroni, który zapaliwszy sobie fajkę, wygodnie się na słońcu rozłożył. Miasto spoczywało w całéj swéj spaniałości.

Anglicy czyścili swoje surduty, Angielki brały do rąk swe parasole, lokaje przypatrywali się batalijonowi żołnierzy, kąpiących się przed pałacem królowéj Joanny, Szoffield macał się po kieszeniach i szukał swego paszportu.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 50. i obejmuje: 1) Na czém powinny się zasadzać prawdziwe ulepszenia w gospodarstwie wiejskiém. (Ciąg dalszy). 2) Oszacowanie wartości różnéj karmy. (Ciąg dalszy). 3) Większe spotrzebowanie skór z przyczyny złego czernidła (szwarcu). 4) Wiadomość przemysłowa. 5) Wiadomości czasowe.

Numer 24. i ostatni z r. 1840 *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Dwa zboczenia, powiastka, przez F. X. J. 2) Wiersz Szyllera, przez A. B. 3) Żartowniś. 4) Teatr. 5) Przemówienie Redakcyi.

Z Wilna: Donoszą, że druk *Athenaeum*, pisma wychodzić mającego pod redakcyją J. J. Kraszewskiego, szybko postępuje, i przed Nowym Rokiem dwa jego tomy wyjdą niezawodnie. Tom trzeci także wygotowany już do druku. M. Grabowski, hr. Henr. Rzewuski i Aleks. Groza nadesłali do niego swoje artykuły.— *Obrazy litewskie* przez Ignacego Chodźkę, Tom I. str. 180 — Tom II. str. 147. zawierają: Domek mojego dziadka; Boruny; Śmierć mojego dziadka; Ostatnia sessyja exdywizyi; Samowar i Powrót dziedzica. Są to powiastki malujące bardzo przyjemnie obyczaje zeszłego wieku. Wydanie ozdobne Adama Zawadzkiego w 8ce, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

W Wrocławiu nakładem Maxa i spółki wyszły: *Scriptores rerum Silesiacarum* (Zbiór historyków szląskich) przez Dra. Stenzla, profesora przy uniwersytecie wrocławskim, 2 tomy. Przytaczamy tu tylko treść tego dzieła, o ile się dotyczé dziejów Polski. Piérwszy bowiem tom zawiéra: I. *Chronica Polonorum* z początków XIV. wieku, przez Sommerbergera w wstępie dzieła jego wydrukowana, tu podług jedynego jeszcze istniejącego kodexu z wtóréj części XIV. wieku poprawniéj wydana i mianowicie przez *Chronica principum Poloniae* zbogacona. II. *Breve Chronicon Silesiae;* kronika ta po kronice polskiéj najdawniejszym jest ułamkiem kroniki szląskiéj. III. *Chronica principum Poloniae,* dzieło nader ważne, ułożone w latach 1384 do 1385., z początku podług znajomych dawniejszych kronik, zaś od drugiéj połowy 13go wieku z większą wiaro-godnością stosownie do dokumentów i wiary-godnych tradycyj. Przedruk w Sommersbergerze pełen błędów; wdzięczni więc jesteśmy panu Stenzlowi, za ten poprawny tekst, do którego on prócz przedruku Sommersbergera, którego rękopismo zaginęło, trzech użył rękopismów, wyciągu jednego i tłumaczenia. Kronika ta napisana w czasie, kiedy najlepsze średkowo- i północno-niemieckie kroniki wydawano, obecnie mianowicie, kiedy bogatsze życie umysłowe w szczepach sławiańskich tak pięknie rozwijać się zaczyna, niezmiernie jest ciekawą. (Artykuł ten w skróceniu wyjęty z »*Hallische Allgemeine Litterarische Zeitung*« Nr. 187.)

Skrzydlata machina do latania. To co Dedal niegdy wynalazł, a Ikar podług podania miał do skutku przyprowadzić, zawsze jeszcze naśladowców znajduje. Któż się temu dziwić będzie? W teraźniejszym czasie wynaleziono już niejednę rzecz, która się nam niepodobieństwem być zdawała: alboż nie latamy już koleją żelazną, nie latamy po Oceanie, nie latamy balonem? czemużbyśmy jeszcze skrzydeł przyprawić sobie nie mieli? Z tém wszystkiém wolno nam wątpić jeszcze, ażali sztuka latania za pomocą skrzydeł już teraz istotnie wynalezioną została, jak to pan Davidson w Wirginii utrzymuje. Mimo tę wątpliwość umieszczamy tu wszelako doniesienie jednego z nowojorskich dzienników, który utrzymuje, iż rzeczony mieszkaniec Ameryki północnéj wynalazł istotnie skrzydlatą machinę do latania, któréj mechanizm odpowiada mechanizmowi ptaków latających. »A że ramiona«, mówi tenże dziennik na końcu, »nie wystarczyłyby na długo do dźwigania ciężaru ciała w powietrzu, więc pan Davidson także i nóg do pomocy użyć zamyśla.«—Nie kryje on się z swą tajemnicą, gdyż zapowiedział publiczne odczyty o swoim wynalazku, utrzymuje, iż machina jego w jednéj

godzinie sto angielskich mil ulecić będzie można! Pan Davidson jest adwokatem w Wirginii.

Siła elektryczności. Za pomocą elektryczności, można w kilku minutach otrzymać sałatę zwyczajną albo rzerzuchę wodną. Należy tylko dniem wprzód w rozcieńczony chlor włożyć nasienie tych roślin, potém posiać je na pulchnéj ziemi, nakryć płytą metalową i z machiną elektryczną w związek wprowadzić. Tąż samą siłą można w kilku godzinach wylęgać jaja, z których przez źwiérzęce ciepło dopiéro w dziewiętnastu lub dwudziestu dniach młode się wykluwają. Woda deszczowa, która jest czystą i na oko żadnych w sobie zwierzątek nie ma, przez zastósowanie elektryczności w jednéj godzinie mnóstwem zwiérzątek się zapełni.

Sława i znaczna kwota pieniężna za mały poemat. Angielski poeta Campbell winien swoję sławę najszczególniéj poematowi pod nazwą: *Rozkosze nadziei*, który, jak ktoś obliczył, tylko z 920 wierszy i 9200 zgłosek się składa. Poemat ten zjednał mu wielką sławę, majątek i 2000 talarów pensyi rocznéj. Pensyję tę pobiérał Campbell przez lat 37, a więc dotychczas wybrał już 74,000 talarów, od księgarza zaś niemal 15,000; w ogóle więc wziął 89,000 talarów za swój poemat, który podobno jest najdroższym, jaki kiedy którykolwiek z poetów napisał.

Osobliwsza strawność żołądka. W Aradzie czyli Hradzie, miasteczku w Węgrzech, jest niewiasta, która chociaż ma lat 38, jednak bardzo młodo wygląda, i codziennie dwie kwaterek drobnego piasku, którego się do budowli używa, z największym smakiem zjada. W zimie, gdy budowanie domów ustaje, i śnieg lub mróz zbiéranie piasku utrudni, odrywa z domów tynk suchy, i roztarłszy go na miałki proszek, zjada, jednakże mniéj łakomie, niż sam czysty piasek. Sprawia ona sobie tę ucztę regularnie dwa razy na dzień, to jest rano i w wieczór; prócz tego jada tylko chléb, a rzadko ciepłe potrawy. Siostra jéj przy wydarzonéj sposobności zjada codziennie połowę wypalonéj na proch roztartéj cegły, niemal cztéry do pięciu funtów. Rzadki ten apetyt odziedziczyły obiedwie siostry po swojéj babce, która tak mocno jadać lubiła roztartą cegłę, iż nakoniec codziennie cztéry funty takowéj strawy na utrzymanie swego życia potrzebowała.

Ogniową sikawkę, zwaną branderem parowym, wynalazł pewien Francuz, i wprowadził w Anglii w używanie; jest ona zupełnie podobna do zwyczajnéj sikawki; napełniona, tryska nieprzerwanym promieniem, ale promieniem ognia, który się nawet pod wodą pali.

Festyn na cześć Szyllera. Z Lipska pod dniem 11. listopada donoszą: Bardzo liczna publiczność zgromadziła się do pięknych sal w hotelu *de Pologne* i z wielkim zapałem miała udział w festynie wyprawionym na cześć Szyllera w przedjutrze jego urodzin.

Uścisk z polecenia. Jeden z regidorów Madrytu udał się niedawno do Espartera, i oznajmił mu, iż imieniem pewnéj włości w Kastylii otrzymał zlecenie, ażeby go uściskał. Gdyby każdéj włości w Hiszpanii przyszło na myśl posłać deputowanych do uściskania księcia zwycięztw, byłby to nowy rodzaj składania hołdu i przyczyniłby się niemało do nieprzyjemności, które z sławą są połączone.

Kosztowny imionnik. Ożenienie się rossyjskiego hrabi Demidowa z Matyldą, księżniczką Montfortu, przysporzyło dla francuzkich artystów i rzemieślników roboty. Pomiędzy darami, które hrabia Demidów przysłał dla swojéj narzeczonéj, najbardziéj się odznacza imionnik. Najpiérwsi artyści przyozdobili go arcypięknémi rysunkami i malowidłami. Jest on oprawiony w biały aksamit i wykładany śrebrem misternéj roboty; na jednéj stronie jest cesarsko-rossyjski herb emailijowany w złocie, a na odwrotnéj cyfra hrabi Demidowa, także w złocie na tle błękitném emailijowaném. Książka ta zamknięta jest w suto ozdobnym i aksamitem wyłożonym futerale z kości słoniowéj.

Wypadek z życia artysty. *Géricault* sławny malarz najnowszéj francuzkiéj szkoły, już we dwudziestu cztérech latach zjednał sobie zaszczytną sławę u świata, czemu on jednakże wierzyć nie chciał. Artysta ten nazywał dzieła swoje pączkami przyszłych kwiatów i tylko jedną dręczony był obawą — aby nie umarł zanim te kwiaty się rozwiną. Jednego dnia odwidził go nie mniéj sławny artysta *Delacroix*, i wzdrygnął się na widok zmizerniałéj, bladéj twarzy, wewnętrznym bolem znękanego przyjaciela swojego. — »No«, zapytał Delacroix wszedłszy do pokoju, »w jakim stanie jest twoje zdrowie?« — »W złym przyjacielu, kaszel coraz bardziéj mnie dręczy, a nawet krew wyrzucam.« — »Ty zaniedbujesz się przyjacielu. Należy zasięgnąć rady lekarzy, a przedewszystkiem na niejaki czas zaniechać pracy.« — »Cóżbyś ty odrzekł na to Eugenijuszu, gdyby ci taką samę radę dawano? Czyliż praca nie jest życiem artysty? Mając pędzel w ręku gdy usiędę przed płótnem, zapominam, żem ubogi, nieznany, i że na śmierć w młodym wieku skazany jestem; wierzę szczérze w mój talent, w powołanie, a za chwilę znowu powątpiewam o swoich siłach: Oprócz tego wypoczynek jest przywilejem bogacza, a jam ubogi.« — »Czyliż dla ciebie nie są otwarte kieszenie nasze?« — »Wy jesteście tak chętni do dawania, jak ja do nieprzyjęcia skłonny.« — »Jesteś uparty, przyjacielu. Zresztą czemu na poratowanie zdrowia nie użyjesz swoich własnych zasiłków? Oto masz dwa przecudne obrazy, za które gdybyś je sprzedał, na lat kilka wszelkiemi potrzebami zaopatrzyć się możesz.« — »Ja mam upodobanie w tych obrazach, jako w towarzyszach mego nieszczęścia; a potém, możebym na nie i kupca nie znalazł.« — »Zbyteczna skromność przyjacielu; mamże którego z nich sprowadzić?« — Géricault pomyślił chwilę, potém ścisnąwszy przyjaciela za rękę, rzekł: »Artysta mówi, nie sprowadzaj, a głodny człowiek mówi sprowadź!« — Nazajutrz wszedł do pracowni Géricaulta bogaty miłośnik kunsztu, i przypatrzywszy się długo obu obrazom, rzekł z pośpiechem do artysty: »Co wpan chcesz za te dwa obrazy?« — »Nie wiém, co mam za nie żądać, niech publiczność sądzi pracę malarza, spuszczam się na wyrok wpana.« — »Przyjmiesz wpan piętnaście?« — Biedny artysta zawiódł się w swych marzeniach. »Piętnaście set franków za cały rok mozolnéj pracy! Ale, możeż żądać więcéj, wszakże ja malarz powszedni. Weź je wpan.« — »Dobrze; oto masz wpan rzeczoną kwotę«; to rzekłszy kupiec, wyliczył 15,000 franków banknotami na stole. — Géricault podniósł z dumą głowę do góry, dopiéro po raz piérwszy uczuł swą godność, swoję prawdziwą wartość; ale za chwilę ogarnęła go smutna myśl, iż te ulubione utwory talentu jego, może będą tylko okazem bogactwa ich właściciela. — Błędnym wzrokiem rzuciwszy na obnażone ściany swéj pracowni, rzekł: »Mości panie, przyszléj kogo po te obrazy.« — We trzy lata późniéj, umarł Géricault na chroniczną słabość, pozostawiwszy publiczności, swojéj spadkobierczyni, *Rozbicie okrętu Meduzy*, wieczną pamiątkę swojego jenijuszu.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.